ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. — Bytom G.-Ś., 9-go Września 1897. — Nr. 36.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc w Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi z przesyłką pocztową 85 cent. — Pojedyńczy zeszyt kosztuje 15 centów. — Główny skład na Galicyą i Bukowinę znajduje się w księgarni pp. Kubaczki i Langa w Białej (Galicya.) OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 10 centów od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

Maksencyusz opuścił cyrk wśród igrzysk, aby co tylko koń wybiedz może pognać do Rzymu; ogólny popłoch i ucieczka tłumów nie pozwalały wątpić, że zwycięztwo chyli się na stronę Konstantyna, a wtedy dyakon Sewerus zawołał tryumfująco na młodego grabarza:

— Czy przypominasz sobie króla Baltazara i tajemniczy napis?

Walerya usłyszała to pytanie.

— Po Baltazarze — zawołała — przyszedł ów król, pod którym Bóg wyratował Daniela z jaskini lwów, i dzisiaj Wszechmocny uczyni podobny cud!

Nadzieja jest niejako pocieszającą matką, i młodzież zwłaszcza tuli się chętnie do jej łona, a na widok słodkiego jej uśmiechu zapomina, że zawód i rozczarowanie wraz z swą ponurą twarzą i zimnem sercem jest bratem przyrodnim nadziei.

— Irena wolna!

Na tę myśl Walerya zadrżała na całem ciele z radosnego wzruszenia.

— Mój Boże — wzdychała dziewica, — właściwie jest to grzechem, gdy dusza moja raduje się na myśl, że matka moja od bram niebieskich przyjdzie ku piersi mojej. Ale czyż nie mam się cieszyć, wyobrażając sobie, jak szlachetna matrona za przykładem sędziwego Jakóba odnajdzie syna swego?

Więźniów zamknięto wczoraj wieczorem w podziemiach cyrkowych, jakże chętnie byłaby Walerya z nimi mówiła! Ośmieliła się nawet poprosić centuryona, który miał nad więźniami dozór, aby jej pozwolił rozmówić się z więźniami. Ten jednak odprawił ją szorstko, dodając jeszcze z szyderstwem:

— Oni przecie już wiedzą, że umrzeć muszą! Albo czybyś może chciała być świadkiem tej miłej niespodzianki, gdy dostaną zawezwanie na rzeź?

Dyakon Sewerus wysłał do miasta kolejno kilku posłów na zwiady, co się tam dzieje. Pierwsi wysłańcy przynieśli za przybyciem wiadomość, że po wszystkich ulicach tłoczą się gromady zbiegłych żołdaków, po mieście zaś obiega wieść, że Rufus poległ, a Maksencyusz dostał się do niewoli. Centuryon zawezwał tych ludzi przed siebie, a wysłuchawszy ich sprawozdań, powtórzył tylko swoje oświadczenie:

— To wszystko nie zmienia nic w rozkazie, który otrzymałem z ust samego cesarza. Wy chrześcianie — dodał Centuryon z zaciekłością — spodziewacie się, że boski Maksencyusz ulegnie, a wy tańczyć będziecie z radości około jego trupa. Lecz nie zapominajcie, że ja, jego setnik, złożę w ofierze wielkiemu nieboszczykowi krew waszych współwyznawców.

Na to odrzekł mu Sewerus:

— Jeśli wykonasz ten krwawy i nieludzki rozkaz pokonanego Maksencyusza, to bynajmniej nie zasłużysz sobie na wdzięczność ze strony zwycięzkiego Konstantyna.

Atoli setnik był niewzruszonym, a nadzieja chrześcian, że uratują swoich uwięzionych współwyznawców, znikała w miarę, jak coraz to nowi gońcy i wysłańcy donosili o świetnych zwycięztwach Konstantyna. Tak z jednej strony nadzieja, że Konstantyn zwycięży, zdawała się spełniać, ale druga nadzieja, że chrześcianie skazani na śmierć, ujdą zagłady, słabła z każdą nową wiadomością.

Tylko Walerya trwała mocno w ufności swojej. Wprawdzie i ona nie zdawała sobie sprawy, zkąd miała przyjść pomoc i ratunek, ale chociaż przez nowy akt zdania się na wolę bożą, powierzyła wszystko Opatrzności, to jednak nie mogła uwierzyć, aby Ojciec niebieski wzbudził w jej sercu błogą nadzieję zobaczenia się tylko na to, by jej ofiarę uczynić podwójnie ciężką. Jako gromada aniołów okrążały głowę jej nieustannie myśli o tej niezmiernie szczęśliwej chwili, gdy przyciśnie do piersi drogą, uratowaną matkę, gdy wszyscy wyznawcy Pańscy z radością i zapałem powracać będą do Rzymu, aby z wspólną matką, Kościołem świętym, obchodzić zwycięztwo Chrystusa.

W nadziei, chociaż bardzo wątłej, że może w jakiśkolwiek sposób zupełnie pewna i niezaprzeczona wieść o zwycięztwie Konstantyna dotrze aż do cyrku i zmieni usposobienie setnika, postawił dyakon Sewerus na wzgórzu przy pomniku grobowym Kornelian, Mincyusza na straży. Ztąd można było śledzić wzrokiem całą drogę apijską aż hen do miasta, na posterunkach aż ku cyrkowi stali inni mężowie, którzy mieli polecenie donosić dalej spostrzeżenia Mincyusza.

Po długiem oczekiwaniu zapowiedział Mincyusz nareszcie jeźdźca, który w odzieży żołnierskiej pędził na spienionym koniu.

W towarzystwie kilku żołnierzy i kilku wiernych udał się setnik na drogę apijską. Nareszcie jeździec przybył; był to sługa wysłany przez Paulina do wili Kwintilian po dzieci senatora. Pełni niespokojnego oczekiwania cisnęli się chrześcianie około niego, a nawet Mincyusz opuścił stanowisko i przybył za posłańcem. Tenże przyniósł pewną i niezawodną wiadomość, że Maksencyusz zginął; lecz to nietylko nie zmieniło usposobienia setnika, lecz owszem podnieciło w nim straszną zawziętość tak, że postanowił śmierć swego cesarza pomścić na chrześcianach. Przybywszy z powrotem do cyrku, taki wydał rozkaz żołnierzom:

— W samym środku areny, u stóp posągu Romulusa złożymy cieniom zmarłego imperatora wielką ofiarę, której sam sobie życzył, wyjeżdżając na bojowisko.

Napróżno nalegali na niego wierni, aby odstąpił od wykonania krwawego wyroku; napróżno upadł setnikowi do nóg wraz z innymi sędziwy dyakon Sewerus; niewzruszony wojownik nie dał się ubłagać. Więźniów wyprowadzono z zamknięcia, kompania żołnierzy wzięła ich w środek między siebie — do pochodu na śmierć.

Walerya spostrzegła Irenę; w oniemiałej boleści wyciągnęła ręce ku matce. Zasyłając z niewypowiedzianą serdecznością i najgorętszym zapałem wołanie błagalne do tronu wszechmocnego i miłosiernego Boga, postępowała wraz z płaczącymi i wyrzekającymi wiernymi za wyznawcami do cyrku na miejsce stracenia.

Atoli teraz zaszła niespodziewana zmiana. Wiadomości, jakie przyniósł posłaniec Paulina, rozeszły się prędko w całej kompanii żołnierzy; jeżeli Maksencyusz zginął, a Konstantyn został cesarzem, w którego posiadanie przeszedł obecnie także i Rzym, w takim razie wykonanie tak krwawego rozkazu musiałoby mieć dla nich wielce nieprzyjemne następstwa. Już niechętnie, ociągając się i mrucząc, prowadzili więźniów na miejsce stracenia; teraz gdy

setnik rozkazał im wyciągnąć miecze, rzucić się na wyznawców i wszystkich wyciąć do nogi, żołnierze stanęli bez ruchu i wypowiedzieli posłuszeństwo.

Walerya nie odrazu to spostrzegła; następnie jednak zrozumiawszy co się stało, podniosła z zapałem i uniesieniem ręce ku Niebu i wyrzekła w niewypowiedzianej radości te słowa:

— Dzięki Ci, dzięki, Wszechmocny Boże! któryś wyrwał Mojżesza z rąk Faraona, a Daniela oswobodził z jaskini lwów, ja to wiedziałam: ty nie zawiedziesz i nie opuścisz tych, którzy w Tobie ufność swą położyli.

Po tych słowach Walerya już nie wątpiąc o ocaleniu uwięzionych, chciała rzucić się ku Irenie. Atoli setnik z wściekłością ją odtrącił, wołając:

— Na Herkulesa! Czy mój cesarz żyje, czy nie żyje, rozkaz jego jednak musi być wykonanym! A jeżeli, wy żołnierze, haniebnie zapomnieliście o boskim Maksencyuszu, który obsypywał was dobrodziejstwy i buntowniczo wypowiedzieliście mu posłuszeństwo, wtedy...

W tej niebezpiecznej chwili zawołał jeden z wieśniaków zgromadzonych licznie około cyrku, że w oddali na drodze apijskiej widać drugiego jeździca lecącego szalonym pędem w tym kierunku.

Setnik z ponurem wejrzeniem opuścił miecz na dół i wysłał kilku żołnierzy do wejścia cyrkowego.

Walerya wraz z innymi chrześcianami szła za nimi w niespokojnem wzruszeniu.

Z rozpuszczonymi cuglami pędził drogą apijską jeździec w rycerskiej zbroi, trzymając wysoko w ręku kartę papieru.

— W imię cesarskie — zawołał już zdaleka — wstrzymajcie się, wstrzymajcie się!

Był to Kandydus, który właśnie w samą porę przypędził na spienionym koniu.

Wszystko cofnęło się przed nadbiegającym jeździcem — i w jednej chwili wpadł do cyrku, zeskoczył z konia i z okrzykiem: »matko«, »matko!« pobiegł ku gromadzie więźniów, aby Irenę wyciągającą ku niemu ręce przycisnąć do serca.

— Mateczko, najsłodsza, najmilsza, mateczko! — więcej nie zdołał Kandydus wypowiedzieć z nadmiaru szczęścia i rozkoszy przepełniających jego serce. W milczeniu, ze łzą błogiego szczęścia w oku pochyliła matrona głowę nad synem i przycisnęła go do serca w długim, niewymownie czułym uścisku.

Nawet rubaszni żołdacy stali wzruszeni. Setnika zadziwiło ogromnie to nagłe i cudowne prawie zjawienie się wybawcy w osobie trybuna wojennego; przeczytał rozkaz Konstantyna, który mu rzucił Kandydus, a teraz z oddali dolatywał tentent nadciągającej jazdy. Wyrzekł tedy głośno następujące oświadczenie:

— Nie dozwolono mi wykonać rozkazu boskiego Maksencyusza. Niechże więc stanie się wola zwycięzcy. Więźniowie stają się wolnymi!

Słowa te zostały przez chrześcian przyjęte z głośnym zapałem i uniesieniem; dyakon Sewerus i inni wierni pobiegli ku uwięzionym; tu mąż ściskał żonę, tam syn ojca, brat, brata wśród łez najżywszej radości. Gdy Niebo dolewa oleju pociechy do gasnącej lampy, wtedy płomień ożywia się znowu; tak z owego miejsca, gdzie przed chwilą miała się spełnić krwawa ofiara męczeństwa, podnosiło się kadzidło rzewnej modlitwy dziękczynnej do tronu Najwyższego.

Jakkolwiek Walerya pałała żądzą, aby uścisnąć Irenę, to jednak delikatność i pewna dziewicza cześć wstrzymywała ją od zbliżenia się do ukochanej matki, która w pierwszych błogich chwilach zobaczenia się z synem i w tych okolicznościach należała wyłącznie do niego. W milczeniu więc stała na uboczu z sercem przepełnionem szczęściem i radością, a w oczach jej i na ustach igrał uśmiech najsłodszej rozkoszy. W tym stanie podobną była do róży po nawałnicy. Jeszcze na listkach jej

wiszą niby łzy krople deszczu; ale już słońce odbija się w nich, oblewając kwiat nową wonią i najpowabniejszym urokiem. A gdy Irena spostrzegła Waleryę, pobiegła ku niej aby ją uścisnąć, to im się zdawało, jakoby niewidzialna ręka z góry odjęła od ich ust kielich goryczy i smutku w zamian za to, wlewając w ich dusze krople z źródeł rozkoszy rajskich.

— To mój syn, to mój Kandydus! — wołała w uniesieniu uszczęśliwiona matrona.

— Tylko Bóg sam, który cię posłał może ci wynagrodzić słodkie szczęście, które nam tej godziny zgotowałeś — rzekła Walerya, przyciskając rękę jego mimo jego oporu do ust swoich.

Potem zarumieniona spuściła oczy.

— Szlachetna dziewico — odrzekł Kandydus, uderzony godnością i powabem rozlanym w całej osobie Waleryi, — powołaniem żołnierza jest zadawać rany i przynosić z sobą śmierć; ale milej mu jest, gdy może rozlewać życie, goić rany i łzy ocierać. Że zaś jako syn ocaliłem życie matki, jako chrześcianin uratowałem tylu sławnych wyznawców, o, to stanowi dla mnie szczęście i łaskę, za którą chętnie oddam prędko więdnące wieńce wawrzynowe zdobyte w bitwach.

Tymczasem nadjechali także jeźdzcy cesarscy. Ponieważ spostrzegli, że więźniowie zostali już uwolnieni, więc rzucili się na łupy i wkrótce oznajmił radosny okrzyk jako też jeden z towarzyszów wysłany do Kandyda, że po nad bramą wchodową znaleźli w sali suto zastawione stoły, jeszcze nienaruszone. Wyznawcy jeszcze od owej uczty wolnych albo obfitej (coena libera) którą dostali w przeddzień igrzysk, nic nie jedli, czuli więc potrzebę posilenia się, zanim by się mogli wybrać w drogę do miasta, wśród ogólnej radości dzielili się żołnierze z wyznawcami przysmakami stołu cesarskiego.

W górnej części sali stało między wieńcami kwiatów i draperyami popiersie tyrana; żołnierze zerwali je ze ściany, wykuli oczy posągowi, tak właśnie, jak to uczynił poprzednio Maksencyusz z posągami Konstantyna i postanowili przynieść to popiersie jako znak zwycięztwa w tryumfie do Rzymu.

Ponieważ chrześcianie także pragnęli uczestniczyć w powszechnej radości ze zwycięztwa, więc ta gromada ludzi szczęśliwych powstała wkrótce od stołu, a podniósłszy w gorących modłach dziękczynnych raz jeszcze serce i ręce ku Niebu, ruszyli wszyscy w drogę. Przed wyznawcami jechali jeźdni na koniach, niosąc z sobą oznakę zwycięztwa. Na rozkaz Kandyda wziął jeden z jezdnych na swego konia także Mincyusza, aby tenże według życzenia Waleryi czemprędzej uwiadomił jej ojca o ocaleniu Ireny i reszty wyznawców Pańskich. Irena postępując między Kandydem, a Waleryą, kazała sobie opowiadać wszystkie przygody Kandyda podczas wyprawy wojennej, a szczególniej o przebiegu dzisiejszej bitwy. Jak uważnie słuchały obie niewiasty jego opowiadania; jakże ich serca unosiły się, słysząc,



DOJENIE OWIEC U PODHALAN TATRZANSKICH.

jak widocznie ręka Boża kierowała losami; jak szczęśliwie spoglądały od minionej nocy doświadczeń w radosną przyszłość, która otwierała się przed ich oczyma tak właśnie, jak złocisty poranek po ciemnej nocy!

Następnie przyszła kolej na Irenę, aby opowiedziała, co przeszła i ile wycierpiała. Jej opowiadanie było zarazem opisem doświadczeń i cierpień, jakie przebyć musieli Rufin, Walerya i inni wyznawcy. Raz po raz dziewica rumieniła się, gdy Irena opowiadała o jej szlachetnych i chwalebnych czynach; napróżno usiłowała naprowadzić rozmowę na obowiązek wdzięczności, jaką winna jest Irenie za iście macierzyńską opiekę, którą ona Waleryę zawsze otaczała. Kandydus z wzruszeniem słuchał porywających słów matki; pełen pobożnej czci widział się wśród gromady wyznawców, którzy częścią w więzieniu, częścią skazani na ciężkie roboty przy budowlach publicznych cierpieli biedę, nędzę i ucisk wszelkiego rodzaju. Zaprawdę, podczas gdy zastępy Konstantyna walczyły mieczem o zwycięztwo, to owe wszystkie cierpienia i ofiary wiernych w Rzymie padały na kształt błagających dziatek na stopniach boskiego majestatu, prosząc o przewagę dla Konstantyna, o zwycięztwo krzyża.

Najgłębsze wrażenie atoli zrobiła na Kandydzie odwaga i ofiarność, z którą Walerya starała się ocalić swego ojca, jak podzielała z nim okropność więzienia mamertyńskiego, znosząc nadludzki prawie ciężar cierpień i boleści. Czyż może być — zapytał mimowoli sam siebie — między córami Rzymu szlachetniejsza i wielkoduszniejsza dziewica, jak ta? — Walerya musiała opowiedzieć matce i jej synowi wszystkie swoje przygody począwszy od uwięzienia Ireny, a sposób, w jaki to uczyniła, szczególniej, gdy opisywała szczęśliwe odnalezienie swego ojca, odsłaniał serce o tak szlachetnem usposobieniu, że Kandydus mógł chyba tylko matkę swoję przyrównać do tej wspaniałomyślnej dziewicy. Teraz też pojmował on zupełnie tę zobopólną miłość, która łączyła te dwie niewiasty. Na wiadomość, że Rufinus kryje się w jednej z chat Zatybrza, odpowiedział Kandydus, podobnie jak Irena ze współczuciem, że pragną jej natychmiast tamdotąd towarzyszyć.

— Mój cesarz — dodał trybun — ofiarował nam jedno skrzydło pałacu lateraneńskiego; tamdotąd przeprowadzimy szlachetnego prefekta miasta aż na rozkaz cesarza, który nastąpi zapewnie w najbliższych dniach, będzie mógł powrócić do swego własnego pałacu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

GARŚĆ PSZENNA.

I.

Stary Szczepan, wójt od wieka,
Był jedynym wójtem w świecie,
A takiego jak on człeka
I ze świecą nie znajdziecie.
Głowa tęga, dusza prawa:
Tak za swoję stał gromadę,
Że najtwardsza przyjdzie sprawa,
On najlepszą dawał radę;
I co w świecie rzecz nieznana,
Lub należy do rzadkości,
Że lubiany był od pana,
I lubianym w całej włości.
Tak wszystkiemu czyniąc zadość,
Był jak ojcem swojej wioski;
Ale starość to nie radość,
Przyszedł w końcu wiek dziadowski:
Już o kiju suwa kroki,
Oko blaskiem już nie pała,
W plecach urósł garb szeroki,
Mądra broda pobielała.
Więc przed swymi tak się biedzi:
»Czas odpocząć mi nareszcie!
Rada w radę — i sąsiedzi
Już innego wójta weźcie!
Moja głowa trzech nie zliczy,
Bo zwyczajnie stara, siwa.«
A gromada jak zakrzyczy:
»Dolaż nasza nieszczęśliwa!
Cóżto waści? panie bracie!
Przykro ojczyć w swej chudobie?
Czy nam zguby pożądacie?

Z taką mową idźcie sobie!
A dopóki ręka Boska
Trzyma waści w równej mierze,
Póty cała nasza wioska
Wójta sobie nie wybierze!«

W prośby, groźby on i oni;
Rzeczy wzięły rzewną postać,
I dowiedli jak na dłoni,
Że on wójtem musi zostać.
Lecz starości gdy dogonim,
Życie ludzkie jak na włosku:
Więc im radził po ojcowsku,
By następcę wybrać po nim,
Bo się potem swar obudzi,
Walka pocznie się złowroga
I zgorszenie dobrych ludzi
I obraza Pana Boga.
»Na to zgoda!« zawołali,
»Szczepan mówi święte słowa!
Ale na co szukać dalej?
Jest tu dziatwa Szczepanowa;
Ma trzech synów — dzielne chłopcy.
Każdy wart być na urzędzie,
Im wioskowy ład nie obcy.
Niech z nich jeden wójtem będzie.
Ale który?« — ot i spory,
Już się teraz poważnili:
Ojciec widzi, że mozoła,
Że do gwarnej przyjdzie zwady,
Siwe włosy zgarnął z czoła
I tak mówi do gromady:
»Jeden mówi, że Hrehory,
Drugi mówi, że Wasyli,
Inni znowu z włości grona
Piszą karby na Szymona.
Jest tu lepszych gospodarzy,
I w wyborze ciężka bieda;
Lecz jeżeli wam się marzy,
Że się który syn mój przyda,
Wasza łaska w tem widocznie,
Lecz do wójta droga długa!
Nim gromadzie służyć pocznie,
Niech pokaże, co zasługa.
Ot widzicie właśnie pora
Poznać, jakie w którym czyny.
Pan na wiosnę śle Hrehora
Do Królewca na wiciny;*)
Wasyl rusza w pańskiej sprawie
Aż w Krakowskie panie bracie!
Szymon został przy mnie w chacie,
W Ukrainę szlę Szymona,
Niechaj soli nam przystawi,
Bo w miasteczku bardzo droga,
Wiem, że każdy z nich się sprawi,
W tem już łaska Pana Boga.
Ale który z cudzej strony
Większą korzyść nam przyniesie,
Będzie wójtem postawiony,
Będzie ojczyć w naszej strzesie.

*) Wicina, statek ze zbożem.

Za rok może o tej porze
Bóg mi życia nie odbierze,
Wszystkich trzech zbadamy szczerze,
Nie omylim się w wyborze!«
I gromada w serce bierze
Pana wójta złote słowa.
Nie wiesz dziatwo Szymonowa,
Żeć gromadzkie oko strzeże!

II.

Jak raz za rok tejże pory
Już z Królewca statki płyną,
I najstarszy syn Hrehory
Już powrócił z swą wiciną,
I zebrała się gromada,
Dano miodu dano piwa,
I Hrehory opowiada
Troje cudów, troje dziwa:
Jaki byt u obcych miły
Jaki przepych niesłychany,
A najbardziej mu się wbiły
»Kapelusze i kaftany.
Co tu mówić o siermiędze?
Krój dziwaczny niesłychany,
Zaraz po niej znaczno nędze!
Skrójmyż świty na kaftany,
A słomiane kapelusze,
Pańszczyznowy ubiór chłopa!
Już w Królewcu — przyznać muszę
Zaraz znaczna — Europa?«
Stary ojciec słucha skromnie,
Na kominku popiół grzebie,
I z westchnieniem rzekł do siebie:
»Ten nie będzie wójtem po mnie!«

III.

Wraca Wasyl z pod Krakowa:
Opowiada tonem zucha,
A gromada wszystkie słowa
Najuważniej zdala słucha.
»Co to!« mówi »mowa jaka!
Proszę pana! jakie pieśnie!
Każdy nuci Krakowiaka,
Gdy my piejem tak boleśnie.
Gdzież tu piosnka brzmi swobodniej?
Każde słowo, każda nuta,
Tak goryczy łzą zatruta,
Że aż echo wzdycha od niej!
Wiecie, bracia, co poradzę?
Rzućmy nasze piosnki stare,
W Krakowiaka tańczmy miarę,
A ja rej wam poprowadzę.«
Stary ojciec słucha skromnie,
Na kominku popiół grzebie,
I z westchnieniem rzekł do siebie:
»Ten nie będzie wójtem po mnie!«

IV.

Wraca Szymon z Ukrainy,
Opowiada dziwne dziwy;
Lecz ze swymi tak szczęśliwy!
Ukraińca nie znać z miny.

»Dobrze« mówi »w takiej stronie
Milę dojrzy choćby ślepy,
Ciągłe stepy, ciągłe stepy,
Nie dojrzane okiem błonie!
A jak spojrzy w kraj daleki,
Aż zatęskni się wędrowiec
Do swych sosen, do swej rzeki,
Do swych wzgórków, gdzie jałowiec,
Że chociażby w Ukrainie
Nasypano góry złota,
Popędziłaby tęsknota
Do swej wioski — ku rodzinie.
Jedna tylko rzecz nie lada,
Czego sobie ztamtąd życzę,
To pszenica z niebem gada!
A kłosiska gdyby bicze!
Więc tamecznych plonów cuda
Uzbierałem mieszek spory;
Ej spróbujmy! nuż się uda
Ukraińskie mieć nam zbiory!
A każdemu z was, sąsiedzi,
Dam po garści na początku.«
Ojciec słuchał w swym zakątku,
Westchnął zamiast odpowiedzi.
Wtem westchnieniu zamiast słowa
Wrzała chlubna myśl wójtowa,
Myśl ojcowska — znać ją z twarzy:
Syn mej wiosce korzyść zdarzy.

V.

I zawołał z uniesieniem:
»Z głupich ust głupia nowina!
Kto zamorskiem chce odzieniem
Pokryć ciało Słowianina,
Kto ku obcym skłonił duszę,
O pilśnianej czapce marzy,
Kto słomiane kapelusze
Znalazł sobie nie do twarzy,
W obce stroje niech się stroi,
Niechaj zdrów zakrywa oczy:
Latem czoło skwar uznoi
A w jesieni deszcz przemoczy!
Głupi! jeszcze więcej głupi,
Kto rozumie, że szczęśliwy,
Że swojskiego ducha skupi
W jakiejś piosnce z cudzej niwy,
Kto pogardza grunt ojcowski,
Kto ku cudzym rzeczom skory!
Nie przyniosą nic dla wioski
Ni Wasyli, ni Hrehory!
Lecz kto w obcej będąc ziemi,
Miał ku swoim chęć nie marną:
Kto pszeniczne zebrał ziarno,
By je krzewić między swemi;
Kto o świecie mówi skromnie,
Kto zatęsknił po swej stronie,
Ten zostanie wójtem po mnie:
Będziesz wójtem ty, Szymonie!«
A gromada ze słów rada,
Daje okrzyk, bije w dłonie,
Plon z pszenicy przepowiada:
»Będziesz wójtem ty Szymonie!«

Władysław Syrokomla.

KRAINA LODOWCÓW W WYSOKICH ALPACH.

Wysokie Alpy, poczynające się nad krainą hal czyli łąk alpejskich na wysokości 8000 stóp n. p. m., stanowią ostatnią niebotyczną krainę tych najwyższych gór Europy, sięgających szczytami swymi nad 14.000 stóp n. p. m. Jestto martwa, zimna, biała ojczyzna wiecznych śniegów i lodowców, które szerokimi strumieniami brył lodowych i odtoku skalnego spuszczają się w kotliny i parowy, na grzbiety niższych gór, i zwieszają brzemieniem lawin nad uroczemi dolinami alpejskiemi. Wśród tego świata śniegów i lodów sterczą jakoby wyspy pośród zamarzniętych fal rozhukanego morza, już tylko nagie olbrzymy kamienne, czarne ostre prujące chmury cypliska i iglice, zjeżone głazami grzbiety szczytów i podłużne, strome, zębate ściany skał.

Na wysokich Alpach bowiem, równie jak na wszystkich górach sięgających w granice wieczystego śniegu, nie pada śnieg prawie nigdy w płatkach, lecz zawsze w cieniutkich, zaledwie widzialnych igiełkach, a w czasie odwilży pruszy pył śniegowy, podobny do mgły na dołach. Śnieg ten powyżej 8000 stóp nie roztapia się już tutaj nigdy zupełnie, ale pod wpływem odmiennej temperatury w dzień i w nocy, szczególnie w miesiącach letnich, przeistacza się w drobne ziarnka, których śnieżne jądro powleka plewka lodu, a które nie dają się zbić w bryłę, i ujęte w rękę rozspyują się jak gruby piasek. Taki to suchy ziarnisty, sypki śnieg tworzy pole śniegowe najwyższych szczytów Alp, które niemieccy mieszkańcy nazywają »Firn« a francuscy »Neve«. Ziarn-

ka te śnieżne, usuwając się własną ciężkością z wyższych stoków na niższe, gdzie promienie słońca silniej działają, a przeto i różnice w temperaturze są znaczniejsze, obtapiają się wprawdzie więcej w dni ciepłe, ale mrozy nocne ścinają je znowu, otaczają grubszą powłoką lodu i spajają w większe bryłki, wielkości śrótu, orzecha, jaja. Spadając coraz niżej i ulegając coraz większym zmianom temperatury, rosną one ciągle, twardnieją, lodowacieją, stają się coraz trudniejsze do zupełnego stopnienia, tracą białość śniegu a przybierają niebieskawą barwę lodu, aż w końcu urastają w ogromne bryły złożone z warstw czystego lodu i na pół zlodowaciałego śniegu mniej lub więcej szczelnie ze sobą spojonych, które zawalają swem brzemieniem przepaściste doliny pomiędzy szczytami i zbijają się w lodowce, zesuwając się z nich wydłużonymi smugami przez wąwozy i parowy aż w dzielnicę hal i lasów.

Taki jest proces tworzenia się lodowców.

Lodowiec nie jest więc gładką szybą ścisłego i szklistego lodu, jaki mości podczas zimy nasze wody. Jestto przeciwnie chaotyczne zsypisko różnokształtnych brył i płyt lodowych, podobne do rzek naszych, kiedy zerwawszy zimowe pęty zniosą krę i zbiwszy ją w wysokie zatory, nagle ostrym mrozem wstrzymane zostają w biegu. Ku środkowi wznoszą się lodowce w zaokrąglone garby, ku obu krawędziom zaś pochylają się mniej lub więcej spadzisto, spadzistość tę powodują promienie słoneczne, które odbijając się od ścian dolin lodowców, obtapiają więcej ich brzegi. Dla tego im wyższy jest lodowiec, tem bardziej strome są jego stoki i dla tego stok północny, wystawiony na silniejsze działanie ciepła słonecznego, jest zawsze spadzistszy niż południowy. Tylko lodowce ciągnące z południa na północ, lub odwrotnie, mają oba stoki jednakowo pochylone.

Nierówność powierzchni lodowców alpejskich, powiększają jeszcze sterczące na niektórych iglice lodowe, bryły i bloki różnej wielkości i różnego kształtu. Na tych blokach leżą miejscami ogromne płyty granitu, podobne do stołów o jednej nodze, ztąd stołami lodowcowymi zwane. Prócz tego ciągną się wzdłuż obu brzegów wszystkich prawie lodowców smugi rumowiska, tak zwane »mereny«, które powstają z odtoku przyległych skał. Gdy się dwa lodowce, zsuwające się z rozwidlonych w górze parowów, w jedno łożysko wtłoczą, łączą się ich skrajne mereny w jeden szerszy smug środkowy.

Skutkiem niejednakowego stopnia ciepła i niejednakowej gęstości różnych warstw lodu, nie mogąc się oprzeć prężności zamkniętego pomiędzy nimi powietrza, pęka w gorące dni letnie z właściwym sobie przygłuszonym hukiem skorupa lodowców i tworzą się w niej szczeliny, które z czasem rozrastają się do 60 i 120 stopni głębokości a do 100 stopni szerokości. W te przepaści których ściany połyskujące jak szkło, mienią się w różne odcienia najczystszego lazuru, spadają zwyczajnie w kaskadach wody ze stopionych śniegów, a czasem łączą przeciwne ich brzegi rzucone jakoby mosty, łuki lodowe i ułatwiają niebezpieczną przez nie przeprawę.

Gdzie takich przepaścistych żłobów jest za mało, aby nimi spłynąć mogła wszystka woda, zbierająca się latem na powierzchni lodowców, tam wymula ona sobie głębokie lejki, mające często 30 stopni średnicy, napełnia większe zaklęsłości i kotliny i tworzy stawki i sadzawki. Szukając sobie dalej dnem tych lejków ścieków i odpływów, wylizują te wody rynny i kanały w wnętrznościach lodowców, wydrążają w nich labirynty chodników, i przebijając sobie wyjścia w ich dolnych kończynach, spływają potokami w doliny.

Dla tego u końca każdego lodowca otwierają się szerokie, czasem na 50 do 100 stopni czeluście, zwane wrotami lodowcowymi a dozwalające nietylko zajrzeć, lecz owszem nawet zapuszczać się głęboko w ich tajemnicze wnętrze. Jeden z badaczów przyrody tego alpej-

skiego świata śniegów i lodów (Hugi) dotarł ćwierć mili w wnętrze lodowca Uraz, idąc chodnikami, których zwierciadlane, lazurowe sklepienia wspierały się na takichże kolumnach. Pewien berneński góral, wpadłszy przypadkiem w głęboką szczelinę lodowca Finsterahorn wędrował trzy mile podlodnymi kanałami, nim się nakoniec wydobył na światło dzienne z życiem wprawdzie, ale z połamanemi rękami. Mniej szczęśliwie powiodło się pewnemu Tyrolczykowi, który wpadł w lejek lodowca Ortels, gdyż dopiero po 14 latach wyrzuciła jego szkielet paszcza lodowca.

W gorące lata wieją często z bram lodowcowych gwałtowne zimne wiatry, miotające kurzawą śnieżną, w doliny zwyczajnie zaś ciągnie z nich prąd zimny dołem, podczas kiedy górą wciska się w nie cieplejsze powietrze i obtapia ich sklepienia, wygładza je i rozszerza. W zimie zasklepiają się wrota lodowców, a nurtujące w ich wnętrznościach wody zamarzają, przyczem powiększa się ich objętość i rozsadza zamykające je ściany. Sprowadza to zimowe pękanie lodowców, które pomnaża liczbę utworzonych w nich latem szczelin i rozpadlin, i zmienia nieraz do niepoznania ich powierzchnię, wysadzając na wierzch całe góry lodu, wyrywając z posad i obalając nawet skały.

Grubość, długość i szerokość lodowców jest bardzo różna. W górze u początków swoich są cieńsze, w środku długości swojej grubieją od 400—600 stopni, a ku końcowi dolnemu obniżają się znowu do 160 i 100 stopni. Na milę długie a na pół mili szerokie należą do mniejszych. Większe ciągną się 6—8 mil w długość przy szerokości całej mili i więcej.

Z pól śnieżnych grupy gór Mont Blanc spływa ku północy i południowi 23 takich strumieni lodowcowych, a z berneńskich Alp spuszczają się lodowce 17 ramionami w przyległe równiny. W ogóle w całych Alpach liczą w przybliżeniu do 600 lodowców, które razem wzięte zalegają obszar około 200 mil kwadratowych.

Z daleka widziane lodowce mają barwę niebieskawą lub zielonawą, nigdy białą. Jaśniejsze, lazurowe połyskujące szczeliny i lejki i ciemniejsze iglice i bloki wywołują grę kolorów, odbijającą cudnie od czarnych skał i martwych białych pól śniegowych. Gdy promienie słońca nad zachodem przebijając się przez napełnione waporami powietrze padają na szczyty Alp, nawodzą się ich pola śniegowe i lodowce światłem promienistem złocistoróżowem, które to zjawisko, jedno z najwspanialszych w przyrodzie alpejskiej nazywają płomieniem Alp.



OSKAR II, KRÓL SZWEDZKI.

Gdy się jest na lodowcu, doznaje się wrażenia grobowego spokoju. A jednakże liczne doświadczenia przekonywają, że lodowce alpejskie nie stoją, nie są bez ruchu, lecz przeciwnie płyną nieustannie jak rzeki, posuwają się naprzód i naprzemian to rosną to maleją. Zasypujące doliny alpejskie smugi odtoku skalnego, podobne zupełnie do moren na lodowcach, wielkie głazy narzutowe, spotykane tak często pośród najbujniej-

szych ich niw, a zniesione niewątpliwie ze szczytów granitowych wysokich Alp, wygładzone ściany skał i tym podobne inne ślady, naprowadziły badaczów przyrody alpejskiej (Agassiz) na myśl, że niegdyś lodowce w Alpach nierównie dalej się rozpościerały, że zasypywały wszystkie ich doliny, wyciągając swoje ramiona aż w dolinę Padu i na wyżynę szwajcarsko-bawarską. Wówczas były całe Alpy istnem morzem lodów. Dzisiaj normalna granica ich najniżej zesuniętych lodowców (Unteraar) nie sięga niżej 4000 stóp n. p. m. (Dok. nast.)

POCZĄTEK I WZROST KOZAKÓW.

Kozacy składali rycerstwo ruskie już w czasach najdawniejszych, które później niewiadomo kiedy, kozackiem nazwano dla tego, że lekkiem będąc, wiele miało podobieństwa do tatarskiego.

Kiedy Litwini, uganiając się za Tatarami, przybyli aż pod Kijów i zawładnęli tym krajem, poznali tu Kozaków i od ich miana lekką swoję jazdę nazwali. Za Dnieprem, gdzie Litwini nie władali, pozostali Kozacy przy dawnej swobodzie. Służyło im za twierdzę Zaporoże, które się tak dalece wsławiło, że od niego tutejszych Kozaków nazywano głównie i że to miejsce obrały sobie za warownię przednie kozackie straże połączonych z czasem wszystkich ruskich, pod rządami Litwy i Polski będących Kozaków a naczelnik siły zbrojnej ruskiej, nazywa się »hetmanem po obu stronach Dniepru i Zaporoża«. Dotąd nie jest wiadomem, kiedy urządzenie to nastąpiło i odkąd hetmanowie nastali u Kozaków. Wiadomo wszakże, że gdy za panowania Zygmunta I-go hetmani kozaccy Przecław Lanckoroński, a po nim Ostafi Daszkiewicz, pomyślnie wojowawszy z Tatarami, odznaczali się znakomicie, odtąd rozeszła się sława kozackiego oręża a z nią i imię tych wojowników głośnem się stało. Miała i Rosya swoich Kozaków, którzy mieszkając za Donem, w zażyłości żyli z polskimi. Co mając na uwadze król Stefan, lepiej ich urządził, a obsypawszy Kozaków dobrodziejstwami, zjednał sobie u nich niewygasłą wdzięczność. Z następców jego najwięcej Władysława IV-go kochali i poważali Kozacy. Miał ten król zamiar sprowadzić z Zaporoża osadę i umieścić ją nad Dźwiną, któraby ze żmudzkich jesionów, porobiwszy sobie czajki, niemi na bałtyckiem morzu niepokoiła Szwedów. Ale zamiar ten nie przyszedł do skutku. Małe tylko oddziały rycerstwa kozackiego cudów waleczności i zręczności dokazywały tamże w oczach Szwedów, niepokojąc na tratwach ogromne szwedzkie okręty.

Byli, jak się rzekło dwojacy Kozacy: tak nazywani, ale właściwie, ukraińscy tudzież zaporoscy. Przez pierwszych rozumiano naprzód tych, którzy podlegali Litwie od czasu wypędzenia ztąd Tatarów; następnie wszystkich Kozaków na całej Rusi, pod Litwy i Polski będącej panowaniem, nazywano ukraińskimi. Przez drugich rozumiano Kozaków owych, którzy na prawym brzegu Dniepru mieszkając, naprzód sami niejako byli sobie panami, a później połączyli się z pierwszymi. Odtąd obiedwie strony Dniepru pod jedno przeszły panowanie, (nie jest wiadomy czas tego połączenia), rozumiano przez zaporoskich oddział Kozaków, który składając niby przednią straż kozackiego wojska, zajmował wsławione od wieków Zaporoże, żyjąc na wyspach i stepach dnieprowych pod osobnym hetmanem i nazywając się niekiedy Niżowcami, bądź dla tego, że istotnie Kozacy ci wyspiarzami byli, bądź że niskie ku ujściu morza nachylające się zamieszkiwali ziemie. Stepy, lasy i woda, nory i błota były ich mieszkaniem, gdzie w dymnych siedząc chatach czyli kureniach, kurennymi chałupnikami nazywali się, podzieleni

na kurenia, to jest właściwie mówiąc na rody, bo co tylko ludzi w chacie żyło, czyli domy, składało ród jeden, czyli jeden kureń. Przeciwnie Kozacy ukraińscy dzielili się na pułki, to jest okręgi, a te okręgi miały nazwiska od miast celniejszych: Połock, Białogród, Bracław, Czerkasy. Cokolwiek w przestrzeni pewnej ziemi znajdowało się ludzi, bądźżeto było rycerstwo czyli kozactwo wszelkiego stopnia (starszyzna i gmin), bądź miasta, sioła i folwarki (futory) wszystko to stanowiło pułk jeden. W urzędowej mowie nazywali się ci i tamci Kozacy jednem wojskiem, mianując się najczęściej zaporoskiem, dla uświetnienia, jak się rzekło, zaporoskiej twierdzy. Jak w tej mierze, tak i we wielu inszych względach podobieństwo wielkie i wielka zachodziła różnica między obydwoma rodzajami Kozaków. Wszyscy w ogóle tchnęli nienawiścią ku wszystkim wyznawcom obcego im, to jest nie greckiego obrządku, a mianowicie też ku muzułmanom i żydom, zkąd przysłowie weszło, że jak psy zajadłe są na wilków, tak Kozacy na Tatarów. Żywili w sobie ducha rycerskiego, podsycając go ciągłą wojną i ustawicznie bawiąc na wyprawach. Nazywano ich szlachetnymi i wolnymi żołnierzami, mężami dzielnymi Borystenu (Dniepru) i morza Czarnego panami, religii greckiej obrońcami; wyznawano, że nie brak u ludu tego na Kwincyuszach, Cincinatach, Temistoklesach i t. p. Ukraińscy Kozacy więcej byli krępowani wolą rządu, który im hetmanów nasyłał albo wpływał na ich wybór głosem rycerstwa; ale zaporoscy, głównie ulegając władzy, z własnego natchnienia obranego sobie atamana czyli koszowego (to jest naczelnika obozu, bo koszem z tatarska nazywali ci Kozacy obóz), uważani byli za niezawisłych od samego nawet hetmana wszystkich wojsk kozackich, na którego zlaną była władza przez rząd polski nad całem kozactwem. Ci to szczególniej zaporoscy, mówię Kozacy, pędząc życie troskami domowymi niezatrute, puszczali się na zdobycze, żyjąc jak niegdyś Spartanie. Uważali wszelką kradzież, gdziekolwiek i komukolwiek wyrządzoną, za czyn nienaganny i nieulegający karze, byle tylko zręcznie spełniony został rabunek, a złodziej nie dał złapać się na uczynku, bo inaczej złodziejstwo po dwakroć przebaczone, surową za trzecim razem pociągało za sobą karę: pod kijami i batami albo na pal wbity złoczyńca tracił życie ohydnie.

Wolny od wypraw wojennych czas, poświęcał Ukrainiec rolniczym zatrudnieniom, a Zaporożec albo grał na kobzie, próżniaczy wiodąc żywot, albo kuł na kowadle, albo strugał, albo szydłem lub igłą robił, wojenny sobie naprawiając rynsztunek, albo w dymnej chacie lub w namiocie rozbitym rozlegając się swobodnie śpiewał dumki wojenne.

Gdy Zaporożcy byli tylko oddziałem wielkiego kozackiego wojska, przeto dziwić się nie można, że nawet i za Zygmunta I-go, kiedy porządnie urządzono całe kozactwo, liczba ich dwóch tysięcy nie przechodziła. Lud prosty dziwy prawił o powstaniu i utrzymywaniu się w liczbie Kozaków, nie mogąc pojąć tego, czem się to dzieje, że rycerstwo to, zapuszczające zagony swe to na Węgry, to do Moskwy, to do Czech, to nakoniec w odległe Azyi i Turcyi strony, lubo ginęło co dzień na wyprawach wojennych, codziennie przecież jak gdyby z martwych powstawało. Utrzymywał przeto lud polski, że Kozacy rodzą się jak grzyby, zkąd jak przypuszczać można, nazwa polnych grzybów, kozakami nazywanych powstała, że poległszy w boju z martwych powstają do dziewiątego razu, zkąd wnosił, że każdy Kozak ma dusz dziewięć. Ale nie Zaporoże, lecz Ruś obfitowała w Kozaków, gdyż przy każdej okoliczności lud stawał pod chorągwią w boju doświadczonego hetmana, zwłaszcza gdy kraj cały miał wojenną postać i każdy ruski młodzieniec sposobił się do robienia bronią, czyli Kozakiem był z przeznaczenia swojego. Zaporoże nigdy bardzo ludne nie było, wszakże nigdy też nie było bez wojowników, bo z całego świata, nawet i od tych sa-

mych narodów, z którymi ci Kozacy wojowali, od Turków i Tatarów, zbierały się tu tłumy, hultaje i rycerscy ludzie, ażeby wojskowo służyć, czyli jak mawiano, kozakować. Najwięcej zaś przybywało ich z Polski. Komu dokuczała nędza, lub ktokolwiek nie mógł przytułku znaleść nigdzie, albo kto lubił luźne życie prowadzić, udał się na Zaporoże do niżowych, jak się nazywali, mołojców (mołodców), a każdy jakiegobądź stanu i powołania człowiek znalazł tu schronienie i mógł prowadzić swobodne życie.

Samym tylko kobietom wzbroniony był przystęp, gdyż Kozacy ci, nie będąc rolnikami, jak ukraińscy, nie prowadzili gospodarstwa wiejskiego, ale żyli na podobieństwo rycerskich zakonów, utworzonych podczas wojen świętych z Saracenami toczonych. Świadczą o tem dzieje, że wielu z Polaków hetmaniło Zaporożcom, to jest dowodziło im w wojennych wyprawach, prowadząc za sobą kupy walecznych awanturników, bo u rycerzy tych kto był mężny, ten był pierwszy, ten wódz czyli attaman, prowadzący za sobą roty, gdzie chciał lub gdzie one chciały. O dwóch dzielnych, jak się wyraził mężach, o Wawrzyńcu Kozłowskim, Płoczczaninie herbu Jastrząb, i o Janie Oryszowskim, stryju (czyli raczej wuju) swoim, podał Marcin Bielski, których, ponieważ dowodzili Kozakom na takich wyprawach, nazwał hetmanami, ale niewłaściwie, bo jak się rzekło, tylko ukraińscy Kozacy hetmanów mieli. Że podówczas Zaporoże prawie spolszczało, dowodem jest, iż hospodar wołoski, gdy go, po ujściu z Polski Henryka Walezyusza, Kozacy posiłkowali, rozmawiał z nimi po polsku. Goszczeni hojnie przez Wołoszyna w zadumienie go wprawili swoją bezinteresownością. W czasie biesiady podał im hospodar talerz napełniony złotą monetą. Kozacy nie przyjęli daru, mówiąc: »Szukamy sławy, a nie złota i przyszliśmy potykać się z nieprzyjaciołmi chrześciaństwa«. Ale przyjęli sześć beczek wina węgierskiego, które im zdziwiony tą odpowiedzią, ofiarował Wołoszyn.

W ZAROŚLACH AUSTRALSKICH.

(Dokończenie).

III.

Przez dwa dni jeszcze Bullijong gościł w szałasie nad Erskine, a gdy wrodzona skłonność do włóczęgi wygnała go w świat, poszedł obładowany jak muł otrzymanymi podarunkami i szczęśliwy nad wszelki wyraz.

W parę dni później, przybył rządca stacyi Wentworth nad Erskine, przywożąc świeże zapasy żywności. Bardzo nieprzyjemnego doznał wrażenia, gdy Adams z Wilhelmem oznajmili mu, że porzucając służbę, z końcem miesiąca odchodzą, lecz nie mogąc się temu sprzeciwić, musiał się na to zgodzić.

Do końca miesiąca brakowało tylko ośm dni i w ciągu krótkiego tego czasu, szczęśliwym trafem powiodło się rządcy zgodzić innego owczarza i Hutkeepéra. Pierwszego dnia następnego miesiąca, przyprowadził do szałasu nowych tych ludzi i zapłacił należność Bob'a i Wilhelma, pierwszy z nich otrzymał całoroczne zasługi, wynoszące 10 funtów szterlingów, drugi zaś, od niedawnego tylko czasu w służbie pozostający, bardzo niewielką kwotę.

Po załatwieniu obrachunków wypito kilka szklanek grogu, a spakowawszy swe rzeczy obaj odchodzący opuścili szałas, w którym tyle dni, wprawdzie nudnych i monotonnych, lecz spokojnych przeżyli.

Bob, znalezioną w lesie torbę zatrzymał, lecz oddał Wilhelmowi niosącemu również podobną torbę, jeden z worków skórzanych ze złotem, aż do czasu ścisłego obrachowania i podziele-

nia się. Prócz tego każdy z nich niósł przewieszony przez ramię worek z zapasami żywności, nóż i strzelbę.

Tak ubrani, po południu, pewnego dnia pożegnawszy swych następców puścili się brzegiem rzeki, obierając zaś ten kierunek, zabezpieczonymi byli od niedostatku wody do picia. Zamiarem ich było przedostać się najprzód do kopalni złota nad Macquarie, następnie dostać się do Dubbo, zkąd już pocztowe powozy odchodziły do Bathurst.

Przy panującym upale, podróż ta była nadzwyczaj męczącą, mimo tego wesoło kroczyli naprzód; wszakże opuszczali na zawsze tę pustynię.

Pierwszą noc przespali pod gołem niebem. Drugiego dnia wieczorem zatrzymali się w owczarni, gdzie Bob znalazł znajomych i przyjaciół, którzy ich najserdeczniej ugościli.

Czwartego dopiero dnia, doszli do rzeki Macquarie i dążyli już przeciw jej prądowi, w południowo-wschodnim kierunku.

Wieczorem przybyli do wąwozu niedaleko rzeki, gdzie znaleźli gambusinów zamieszkujących dwa szałasy, którzy tam zajmowali się wymywaniem złota.

Towarzystwo to złożone z 10 osób nie było wcale w wesołem usposobieniu, owszem twarze ich były ponure a oczy ich uparcie zwracały się ciągle na torbę Boba. Zły humor pochodził ztąd, że po długiej i ciężkiej pracy dobrawszy się nareszcie do zawierającej złoto niebieskawej gliny, zaraz przy pierwszem przemyciu przekonali się, że praca ich była daremną, gdyż osiągnięty zysk nie wynagradzał roboty.

Kiedy Adams chciał kupić coś do zjedzenia, odpowiedziano mu, że sami zaledwie na parę dni mają tylko żywności.

W takich okolicznościach łatwo pojąć można było ponury ich humor, lecz czemu przypisać należało nieufne i złe spojrzenia rzucane wciąż na naszych podróżnych, tego ani Wilhelm ani Bob zrozumieć nie mogli.

Bob szepnął do swego towarzysza, że lepiej będzie noc przepędzić w zaroślach, niżeli prosić ludzi, których całe postępowanie wydawało mu się bardzo podejrzanej natury, o miejsce do spoczynku.

Jednocześnie podniósłszy się z siedzenia i zabrawszy rzeczy zamierzał wraz z Wilhelmem szałas opuścić, gdy jeden z kopaczy, z rudą brodą, irlandczyk zawołał:

— He Mate! poczekajcie no i powiedzcie gdzieście to ukradli tę czerwoną torbę.

— Co wam do głowy przychodzi Mate? — odpowiedział obrażony owczarz — nie kradnę nigdy, przypatrzcie mi się, a zobaczycie, że jestem uczciwy człowiek.

Rudo-brody roześmiał się złośliwie, a inni mu zawtórowali.

— Czekać! — zawołał groźnie irlandczyk, — muszę obejrzeć tę torbę, ogromnie podobną do jednej, którą znam. Jeśli na placie znajdują się litery B. W., to niema wątpliwości, żeście właściciela jej zrabowali i zamordowali.

— Te litery są w istocie na zamku torby, — odpowiedział Adams, doznający coraz większej niespokojności — lecz mimo tego uczciwym sposobem przyszedłem do jej posiadania.

— A to jak?

— Tutejszy krajowiec znalazł ją przy zwłokach zmarłego z braku wody gambusina w górach, o dwadzieścia mil na północ od Erskine w pozbawionej wody pustyni i sprzedał mi ją za starą harmonikę. Mój towarzysz może to poświadczyć.

— Tak było rzeczywiście — odezwał się Wilhelm zasępiony, — może znacie włóczącego się ciągle czarnego, z którym zrobiliśmy ten handel. Nazywa się on Bullijong i często spotkać go można przy kopalniach złota.

— Doprawdy? to z Bullijongem zrobiliście ten interes? A kiedyż to było?

— Więcej jak przed dwoma tygodniami.

— Wszystko co opowiadacie, są to same kłamstwa. Znam dobrze tego czarnego i mogę zaręczyć, że nikt go nie widział już oddawna. Więcej jak

przed półrokiem mówiono, że umarł — odpowiedział irlandczyk.

— Żyje i taki jest wesoły jak zawsze — rzekł Adams — był on naszym gościem przez kilka dni w szałasie nad Erskine.

— W samej rzeczy? a cóżeście to porabiali w tej przeklętej pustyni, przypuszczam, żeście się zabawiali rozbojem w tamtych zaroślach.

— Mylicie się zupełnie. Ja byłem przez długi czas owczarzem na stacyi Mr. Wentworth'a, a ten młody człowiek był moim hutkeeper'em.

— A teraz pewno jako kapitaliści wycofaliście się z interesu?

— Tak jest w samej rzeczy. Uwolniliśmy się ze służby i wędrujemy z kilkoma funtami szterlingów w kieszeni do Bathurst, żeby sobie poszukać nowego jakiego zajęcia.

— Najprzód musicie pozwolić, abyśmy zrewidowali wasze rzeczy.

— Do tego nie macie żadnego prawa!

— Nie oglądajcie się tylko za strzelbą, jest tu nas dziesięciu i łatwo was zmożemy.

— Cóż u djabła może was obchodzić moja torba podróżna?

— Widzicie Mate, ma to swoje wielkie znaczenie. Więcej jak przed trzema miesiącami pracowaliśmy wspólnie w górze rzeki Macquarie, a w naszem sąsiedztwie kopało także kilku młodych marynarzy. Plac był zły, więc go opuściwszy, poszliśmy w dół rzeki, nasi sąsiedzi zaś udali się w góry i nic więcej o nich nie słyszeliśmy. Jeden z nich nazywał się Bernard Webb i do niego należała ta torba, którą niesiecie teraz, gdyż musieliście go zrabować i zamordować.

— Mógłbym na to przysiądz, że powiedziałem prawdę. Czy jesteście z tym Bernardem Webb w pokrewieństwie?

— Bynajmniej, jest to tylko moja znajomość z kopalni, lecz znaliśmy się dobrze i piliśmy nieraz ze sobą w szynku w Dubbo, dla tego też los jego bardzo mię obchodzi. Przejrzę więc wasze rzeczy i jeżeli się okaże cośkolwiek bądź, coby stwierdzało moje podejrzenia, żeście Bernarda Webb zabili i zrabowali, to tak pewno, jak nazywam się Nehemia Smith, jeszcze dzisiejszej nocy będziecie, według wszelkich prawideł zlynczowani i powieszeni na tym oto starem gumowem drzewie. Zatem wyrzucajcie z torb wasze rzeczy!

Bob i Wilhelm pojmując straszne niebezpieczeństwo im grożące zamienili ze sobą niespokojne spojrzenia. Znajdowali się oni w groźnem ze wszech miar położeniu i gdyby ci zdziczeni ludzie odkryli u nich złoto, którego posiadania, wydając się poprzednio za służących w owczarni w niczem usprawiedliwić by nie mogli, wówczas czekałaby ich niechybna śmierć. Adams przyciskał co sił torbę do siebie, toż samo i Wilhelm, chociaż nie mogli mieć nadziei otrzymania znikąd pomocy, obydwa widzieli się już w duchu powieszonymi.

— No, na cóż czekacie? — krzyknął groźnie irlandczyk. — Eh! kamraci! Pomóżcie mi wziąść się do tych podejrzanych ludzi!

Gambusini, którzy oddawna otoczyli naszych podróżnych wyciągali już ręce do pewnej zdobyczy, gdy zaszło coś niespodzianego...

W pobliżu dała się słyszeć dziwnego rodzaju muzyka, jakby dziecko jakieś wydobywało bezładne tony z harmoniki.

— To moja harmonika — zawołał Wilhelm — to Bullijong gra!

— A tak, dobry ten chłopak zjawia się w samą porę, aby zaświadczyć o naszej niewinności — odezwał się uradowany Adams. — No Mate, zawołajcie go tutaj i przesłuchajcie go, jeśli się wam spodoba!

— Smith! ci ludzie dobrze mówią — zawołało kilku z kopaczy — sprawiedliwość wymaga, abyśmy posłuchali, co powie Bullijong.

Sprowadzono wkrótce do szałasu czarnego, który zaświadczył, że doprowadził owczarza do trupa zmarłego gambusina w lesie i oddał mu torbę za harmonikę.

— Jeśli tak Mate, to proszę mi wybaczyć — rzekł Nehemia podając rękę

Adamsowi — moje podejrzenie było niesłusznem. Jeśli chcecie, możecie iść dalej w swoją drogę, a jeśli nie, to zostańcie tu na nocleg.

Ostrożny Bob podziękował i opuścił szałas wraz z Wilhelmem i czarnym dzikim, który ich przeprowadził spory kawał drogi.

Z wielkiego niebezpieczeństwa cudownie ocalił ich szczególny przypadek.

Była to już ostatnia ich przygoda w australskich zaroślach.

Przybywszy do Dubbo kupił sobie stary Bob domeczek i urządziwszy w nim gospodę, rozpoczął życie o którem dawniej marzył.

Wilhelm opuścił swego przyjaciela i dobroczyńcę w kilka dni później, wracając do kraju.

KONIEC.

POGRZEBY KRÓLEWSKIE I INNE.

Obyczaj chrześcijański, potępiając próżność światową a doczesną, zalecał dostatki zmarłego rozdawać ubogim i do trumny nie wkładać żadnych kosztowności. Stąd do trumny Kazimierza Wielkiego koronę, berło, ostrogi włożono pozłacane, a tylko jeden pierścień na palcu pozostał szczerozłoty. Przeciwnie, obyczajem pogan, ciało zmarłego ubierano najokazalej, jakby na wielką ucztę. Stąd pochodzą owe złote skarby w grobach pogańskich dostojników. Gdy w r. 1426 umarł Ziemowit, książę mazowiecki i płocki, żona jego Aleksandra, rodzona siostra króla Władysława Jagiełły, wychowana jeszcze w dawnym obyczaju litewskim, ciało małżonka, obyczajem raczej pogańskim niż chrześciańskim, okrywszy kosztownemi szaty, ozdobiwszy srebrnym łańcuchem, mieczem i pasem rycerskim, przywdziawszy mu obuwie wojenne i ostrogi złociste, usłała dlań łoże miękkie i bogate, nakryte złotogłowiem i złożyła tak jego zwłoki do grobu w chórze kościoła płockiego. Nie mógł znieść — jak się wyraża Długosz — tej pogańskiej rzeczy Stanisław Pawłowski, biskup płocki, gdy więc po skończonym pogrzebie wszyscy odeszli, kazał z grobu wyjąć złoto, srebro, nakrycia, ozdoby i rozdał je na chwałę Bogu i pożytek biednych. Z czasów dawniejszych kronikarze zanotowali, że po zgonie Władysława Hermana nabożeństwo pogrzebowe odprawiano nader okazale i przez 5 dni śpiewano egzekwie za duszę nieboszczyka, poczem nastąpił pogrzeb i noszenie żałoby, do której już w wieku XII używano w Polsce czarnego sukna.

Pierwszy szczegółowy i ciekawy opis pogrzebu królewskiego po zgonie Kazimierza Wielkiego w r. 1370, pozostawił nam archidyakon gnieźnieński. Pogrzeb ten odbywał się zapewne na wzór dawniejszych monarszysh pogrzebów z epoki piastowskiej. Po odbytem nabożeństwie zadusznem szedł kondukt pogrzebowy, obchodząc miasto Kraków i jego kościoły znakomitsze, jako to św. Franciszka, Panny Maryi i św. Trójcy. Szły naprzód cztery wozy poczwórne, z których każdy ciągniony był przez cztery konie czarnem pokryte suknem i czarno też odziani byli woźnice. Za wozami postępowało 40-tu rycerzów zbrojnych, na rumakach przybranych suknem purpurowem, z których 11-tu niosło 11 chorągwi z herbami tyluż ziem a 12-ty niósł chorągiew królestwa polskiego. Za nimi jechał rycerz na dzielnym stępaku, wziętym ze stajni zmarłego króla i okrytym w szkarłat, wyobrażając osobę zmarłego monarchy. Za nim postępowało parami 600 ludzi ze świecami, z których każda ważyła pół kamienia. Za nimi szły różne zgromadzenia zakonne śpiewając psalmy. Po nich duchowieństwo świeckie, a za tem szły królewskie mary, pełne różnych jedwabnych materyi i sukien, dla rozdania ich po kościołach. Dalej dworza-

nie i domownicy nieboszczyka w liczbie 300 osób przybrani kirem. Ci z wielkim płaczem i narzekaniem smutno postępowali. Wkońcu szedł król nowy (Ludwik, siostrzeniec Kazimierza Wielkiego) z arcybiskupem, książętami i pierwszymi kraju obywatelami. Orszak ten wstępował, jak się rzekło, do kościołów: P. Maryi, Franciszkanów i Dominikanów, gdzie złożono w darze dwa kawały sukna szkarłatnego i brukselskiego po 16 łokci długie, tudzież wiele świec i pieniędzy. Przed marami idący człowiek miotał dla ubogiego ludu grosze (srebrne) i dawał każdemu, kto ręki nadstawił, byle nie zawadzano na drodze i modlono się za duszę królewską. Obok niego szli dwaj ludzie z worami groszów i wysypywali one na misy srebrne, z których brał ten, co pieniądze miotał ludowi. Gdy misy wypróżniono, znowu je napełniano. Tak postępując, orszak wszedł do kościoła katedralnego. Tu biskup krakowski miał żałobne nabożeństwo, przyczem robiono ofiary za duszę zmarłego. (Dokończenie nastąpi.)

* Objaśnienia rycin. *

Dojenie owiec u Podhalan tatrzańskich. Głównym skarbem górala są owce, gdyż jest on, jak szczególniej górale wschodnich Karpat, na wskroś pasterzem. Tak połoniny wschodnich Karpat jak halę tatrzańskie mimo krótkiego lata porastają gęstą i posilną trawą, którą owce, bydło i konie chętnie zjadają. Owce na spoczynek zamykają w ogrodzeniach drewnianych, które znajdują się tuż przy szałasach. Każdem ogrodzeniem zarządza starszy pasterz, pod którego komendą jest kilku młodszych. Pasterze ci nietylko pasą, ale także doją owce, jak to na rycinie widzimy. Z mleka wyrabiają ser owczy tak zwaną bryndzę. Wyrabianiem bryndzy zajmuje się zwykle starszy pasterz. Wyrabia on ją w ten sposób, że do świeżo wydojonego mleka wrzuca kawałek żołądka cielęcego, aby mleko się ścięło. Następnie wyjmuje ser, wkłada do włósiennej płachty i zawiesza na kołku. Gdy serwatka już ściekła, wynosi ser na poddasze, a po przefermentowaniu soli go i ubija w faski. Pozostałą serwatkę wlewa do kociołka i gotuje, a z wywarzonym serem robi tak samo jak z pierwszym, lecz ubija go w inne faski, ponieważ smakiem pierwszy ser od drugiego nieco się już różni.

Szałasy górali zbudowane z okrąglaków pokryte są deskami z nałożonymi na nie kamieniami nędznie zewnątrz i wewnątrz wyglądają. O wygodę jaką taką w nich trudno, lecz góral jej nie potrzebuje. Wypędzanie owiec w hale i połoniny przypada w połowie Czerwca, trwa kilka dni i odbywa się tak u Huculów wschodnich Karpatch jak u Podhalan tatrzańskich wśród ogólnego wesela, muzyki i tańców. Pasterze pozostają na pastwiskach do końca Sierpnia a jeżeli lato piękne do połowy Września i dłużej.

Oskar II, król szwedzki urodził się 21-go Stycznia 1829 jako młodszy syn króla szwedzkiego Oskara I. W roku 1840 wstąpił jako kadet do szwedzkiej marynarki, gdzie dalej wykształcenie wszechstronne pobierał. Napisał też później kilkanaście książek rozmaitej treści, osobliwie jednak dotyczących historyi marynarki szwedzkiej. W 1857 roku 6-go Czerwca pojął za żonę Zofię, księżniczkę nasawską, z której ma 4 synów. Po śmierci swego brata, Karola XV, wstąpił 18-go Września 1872 na tron. W tym więc roku w Czerwcu przypadała 40 rocznica małżeństwa jego a w przyszłym tygodniu obchodzić będą w Szwecyi 25-letni jubileusz jego rządów.

Nie może dogodzić.



— Poczekaj bratku, my cię już nauczymy... wyłamywania.

— Ja nie wiem, Panom to też nie można nijak dogodzić. Gdy się dokąd włamię, jest źle; gdy się wyłamię jest niedobrze.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 9-go Września 1897. Nr. 36.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc w Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi z przesyłką pocztową 85 centów. — Pojedyńczy zeszyt kosztuje 15 centów. — Główny skład na Galicyą i Bukowinę znajduje się w księgarni panów Kubaczki i Langa w Białej (Galicya). — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 10 cent. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Najnowszy wynalazek w ogrodnictwie.

Ogrodnicy po miastach, a często i na wsi bywają w kłopocie, jak zaradzić zanikaniu roślin, których hodowlę im powierzono. Jedne rośliny, czy kwiaty rosną tylko na czarnoziemiu, inne potrzebują mieć ziemię leśną, a wreszcie inne łąkową, są nakoniec i takie, które się udają tylko na mieszanej ziemi. Aby mieć każdego rodzaju ziemię pod ręką, na to trzeba mieć wielki zakład ogrodniczy. Ci, którzy nie byli wielkimi ogrodnikami, musieli sobie dotychczas radzić, jak umieli.

W przyszłości będzie inaczej, a to dzięki wynalazkowi pewnego Anglika. Spreparował on mianowicie ziemię, a raczej pewien materyał taki, na którym każda roślina rozwijać się może, jakby na właściwej sobie glebie. Anglik ów, pensyonowany i majętny pułkownik Halford Thompson, ogrodnik z amatorstwa, od dwudziestu lat zajmował się namiętnie doświadczeniami w tym kierunku. Wynalazkiem jego jest gatunek mchu, nasycony chemikaliami i poddany właściwej fermentacyi. Preparat ten już opatentowany we wszystkich krajach nazywa się »Jadoo Fibre.« Halford hoduje już od paru lat kwiaty, za które na wszystkich wystawach dostają mu się najwyższe nagrody, wyłącznie tylko na preparowanej przez siebie ziemi. Nawet najtrudniejsze w hodowli rośliny jak n. p. Gymnopramy doprowadza do nadzwyczajnej bujności, to też angielskie pisma ogrodnicze pełne są sprawozdań z tego nowego materyału hodowlanego.

Jadoo Fibre fabrykuje się już na wielką skalę i sprzedaje się po cenie takiej, jaką ma zwyczajna ogrodowa ziemia w wielkich miastach. Bardzo wielką zaletą nowej ziemi jest to, że będąc gąbczastą, może bardzo dużo wody wsiąknąć w siebie. Skutkiem tego można rośliny, sadzone w Jadoo Fibre, hodować w bardzo nawet małych wazonkach i nie potrzeba wcale ich tak często podlewać jak roślin sadzonych w zwykłej ziemi. Wystarcza im o połowę rzadsze podlewanie.

Angielski ogrodnik Meyer z Exeter'u, podaje taki przykład: palma, Kentia Belmoreana, stała w pokoju w wazonie z Jadoo-Fibre przez trzy lata. Wcale jej przez ten czas nie trzeba było przesadzać z wazonka bardzo małego, a mimo to rozrosła się wspaniale, choć powietrze w pokoju było zwyczajnie miejskie i choć nie doznawała szczególniejszej opieki. Podlewano ją raz na dwa tygodnie. W tym samym Exeterze zakład ogrodniczy Veitch and So-n'a prawie wyłącznie na Jadoo-Fibre hoduje rośliny, a zwłaszcza już liściaste, storczyki, liliowate i te, które na skałach rosną, a szukają wilgoci.

Jadoo-Fibre'u używają też ogrodnicy proszkowscy na Ślązku. Tam dyrektor rządowego pomologicznego instytutu wybrał dwadzieścia najrozmaitszych roślin, wyjął je ze zwykłej ziemi, obmył z niej korzenie ich w wodzie i przesadził do wazonów z Jadoo-Fibre'u. Mycie korzeni jest środkiem zanadto radykalnym, bo łatwo korzeń podczas takiej operacyi uszkodzić można, a mimo tego ani jedna z przesadzonych roślin nie zginęła, wszystkie się doskonale przyjęły i niektóre już po dwóch miesiącach znacznie się rozrosły. Na szczepy, rozsady i dla roślin dekoracyjnych nie ma lepszej ziemi niż Jadoo-Fibre.

Fabrykacyą tego materyału zajmuje się osobne towarzystwo, które w samej Anglii założyło już 400 świetnie prosperujących sklepów. Doświadczenia z wynalazkiem Halford'a powiodły się znakomicie także w Ameryce, na Jamajce, na Przylądku Dobrej Nadziei, w Australii, Indyach wschodnich, Francyi itd.

W Berlinie ogrodnik miejski próbował Jadoo-Fibre'u i doszedł także do doskonałych rezultatów. W strefie gorącej znakomitem jest Jadoo-Fibre, bo kawa, herbata i kakao nadzwyczaj szybko puszczają w niem korzenie. Tak samo nadzwyczaj szybko przyjęło się Jadoo-Fibre we Francyi, bo młoda winna latorośl uszlachetniona na amerykańskim podkładzie tak łatwo puszcza w niem korzenie, że wcale nie trzeba jej przez rok trzymać w pepinierze. Zyskuje się tym sposobem cały rok czasu w hodowli winogradu.

Słowem Jadoo Fibre jest najradykalniejszym rewolucyonistą w ogrodnictwie, jaki w ostatnim pół wieku się pojawił.

Zgryzota Galernika.

Skromna to powiastka, opowiadał mi ją mój brat Yves, bardzo dawno temu. Dnia tego na swojej kanonierce dowoził transport skazańców do parowca, wyruszającego do Nowej Kaledonii. Wśród tych istot, które spoczeństwo wyrzuciło ze swego łona, jakiś galernik bardzo stary (miał jakie lat siedmdziesiąt co najmniej) zabierał z sobą biednego wróbelka w klatce.

Yves, ot poprostu, dla zabicia czasu, wszedł w rozmowę ze starym, a miał on twarz wcale poczciwą nie wyglądał na zbrodniarza; skuty był jednak z jakimś młodym złoczyńcą o twarzy wstrętnej, szyderczej, w okularach na nosie cienkim, żółtym. Stary był obierzyświatem, ujęty po raz piąty czy szósty za kradzież i włóczęgę.

— Jak tu przestać kraść — tłómaczył się, — skoro się już raz zaczęło; jak nie kraść, kiedy po za tym fachem nie ma się żadnego innego, nic z czegoby żyć można, jak niekraść, kiedy z tobą żyć nikt nie chce, nikt cię do służby nie przyjmie? a przecież jeść i żyć potrzeba? Ostatni raz schwytano mnie, bo zabrałem z pola worek kartofli, biczysko i dynię. Nie mogli to dać mi umrzeć we Francyi, proszę ja pana, a nie posyłać na koniec świata, mnie starca nad grobem.

I rad że znalazł kogoś, co go słucha ze współczuciem, pokazał memu bratu Yves to, co miał najdroższego na całem świecie, klatkę z wróbelkiem.

Wróbelek to był oswojony, po głosie pana swego poznawał, on go oswoił w więzieniu, przez rok z górą siadywał mu na ramieniu, tam po za kratą.

O! nie łatwo mu przyszło uzyskać pozwolenie, pozwolono mu jednak zabrać go ze sobą do Kaledonii.

A potem trzeba mu było sporządzić klatkę do takiej podróży, wystarać się o drzewo, o trochę drutu, o trochę farby zielonej i pomalować ją, ażeby wyglądała jak należy.

Przypominam sobie każde jedno słowo mojego brata Yves.

Biedny wróbelek! miał do dzióbania w klatce kawałek czarnego, więziennego chleba a pomimo to wydawał się rad z życia, furał po klatce, jak inny ptaszyna fura po świeżem powietrzu, na wolności.

* * *

W kilka godzin po tem, przybijano już do okrętu, galernicy mieli wyruszać na tę odległą podróż bez powrotu. Yves tymczasem zapomniał już o starym i oto przypadkiem ujrzał go znowu.

— Weź ją pan — rzekł galernik głosem zmienionym podając mu klatkę. — Może się to panu zda na co, może mu sprawi miłą przyjemność.

— O dzięki — bronił się Yves — zabierz pan ją ze sobą. Tam, na obczyźnie, ptaszek ci będzie towarzyszem.

— Oh! — westchnął stary — klatka już pusta... Więc pan nie spostrzegł? Jego już nie ma.

I dwie łzy stoczyły mu się po policzkach.

Przy chybotaniu się kanonierki, drzwiczki od klatki się otworzyły, wróbelek przestraszony, wyfrunął... i natychmiast wpadł do morza, miał skrzydło podcięte.

Była to dla galernika chwila straszna! Widzieć go trzepoczącego się bezsilnie wśród toni i nie módz go wyratować! W pierwszej chwili nieszczęśliwy chciał krzyczeć, wzywać pomocy, zwrócił się nawet z prośbą o ratunek do Yvesa.

Lecz rozwaga wstrzymała ten pierwszy poryw, przypomniał sobie kim jest, czyżby się kto ulitował nad takim nędznikiem? czyżby kto zechciał nawet prośby jego wysłuchać? Bóż kogo ten wróbel obchodzi? Cóż za myśl szalona, mieliby też zatrzymać kanonierkę, aby wyłowić tonącego wróbla, będącego własnością starego galernika, co za niedorzeczne przypuszczenie!

Więc się nie odezwał, siedział w milczeniu i patrzał, jak z przed oczu jego znikła wątła ptaszyna, borykając się jeszcze z falą i uczuł się nagle strasznie opuszczonym, na zawsze samotnym i łzy beznadziejnej rozpaczy wzrok mu

przyćmiły, a tymczasem jego towarzysz łańcuchowy, ów jegomość w okularach śmiał się do rozpuku, widząc, że stary płacze.

Teraz, gdy ptaszyny już nie ma, po co mu klatka, zbudowana z takim trudem i z taką troskliwością dla pielgrzymka; biedak podawał ją poczciwemu oficerowi, który łaskawie opowiadania jego wysłuchał; przed wyruszeniem w długą i ostatnią podróż, chciał mu pozostawić tę pamiątkę.

Toż Yves ze smutkiem podarek ten przyjął, przyjął ów opustoszały domeczek, aby nie zasmucać jeszcze bardziej samotnika, aby nie przypuścił, że on, Yves, gardzi przedmiotem, który go tyle pracy kosztował.

Nie potrafiłem zapewne oddać tego niewymownego smutku i żalu, jaki mnie samego chwycił za serce, gdym opowiadania brata słuchał i nie zdołam zapewne wzbudzić w czytelniku uczuć podobnych.

Było to późnym wieczorem, miałem już iść na spoczynek. Ja, którym w życiu bez zbytniego wzruszenia patrzył na wiele rozpaczy, bólów rozgłośnych, na wiele tłumów, mordów i rzezi podczas bitew z wielkiem zdziwieniem własnem spostrzegłem że mnie nawet snu pozbawi.

— Gdyby to można posłać mu innego ptaszka — rzekłem.

— I mnie to przychodziło na myśl — odpowiedział Yves. — Możnaby kupić u ptasznika jaką ładną ptaszynę i zawieść mu ją jutro w tej klatce, jeżeli będzie na to czas, przed wyruszeniem okrętu. Ale to nie tak łatwo. Zresztą ty jeden mógłbyś uzyskać pozwolenie podpłynąć do okrętu i odszukać tego starego, którego i nazwiska nie znam wcale. Tylko... może się to wydać trochę dziwnem.

— O tak, pewien jestem, że mnie wyśmieją.

I nagle pomysł ten mnie samemu zabawnym się wydał, zaśmiałem się z niego w głębi duszy — a na samym jej dnie, bardzo głęboko — tym śmiechem wewnętrznym, który się na pozór nie zdradza.

I cóż powiecie? Nie wykonałem tego zamiaru.

Nazajutrz rano, po przebudzeniu, gdy pierzchło już pierwsze wrażenie, pomysł ten wydał mi się dziecinnym i niedorzecznym.

Żal staruszka nie był zapewne z rzędu tych, który się byle jaką igraszką daje pocieszyć.

Najpiękniejszy ptak rajski nie mógłby temu biednemu, opuszczonemu przez ludzi galernikowi, zastąpić niepozornego, starego wróbelka, z podciętem skrzydłem, wychodowanego na chlebie więziennym, który na wpół martwego już, zdrętwiałego serca zdołał wykrzesać uczucia tkliwe i te łzy ciche bolesne.

Położenie w Indyach angielskich.

Gdy mowa o Indyach, niejeden myśli tylko o wspaniałych pałacach, o imponujących moszeach, o wysokich palmach, o poważnych braminach, o nęcących bajaderkach i t. d. Wobec tego trudno mu sobie wystawić, że życie w Indyach bynajmniej nie jest snem pięknym, lecz owszem niemało przedstawia stron czarnych. Rok rocznie kilkaset ludzi ginie pod pazurami tygrysów, więcej jeszcze pada ofiarą jadowitych wężów i całe tysiące pochłaniają orkany na wybrzeżach południowych. Niczem to jednak wobec straszliwej groźnej pary: głodu i zarazy.

Goście ci nieproszeni zwykle równocześnie się pojawiają. I w tym roku jubileuszowym cesarzowej Indyi posucha wywołała głód niesłychany, a w następstwie epidemię.

Zrozpaczeni krajowcy, oburzeni na rządy angielskie i na niedbalstwo i wyzysk, chwycili się ostatniego środka: powstania, które ogromem i okrucieństwem dorównać by mogło niemniej straszliwemu powstaniu sepojów w roku 1857.

Religia i przesądy i tym razem podniecają gwałtowność i namiętność ludów indyjskich. Zachowanie się żołnierzy angielskich w Poona przy grzebaniu ofiar zarazy nie stosujących się do przepisów zdrowotnych, musiało wywołać wybuchy fanatyzmu ze strony Indyan. Sam lord Roberts, były długoletni wódz naczelny anglo-indyjskich wojsk, gani w niejednem zachowanie się obecnego rządu w Kalkucie.

Wkrótce po rzezi w Poonach przyszło do otwartego wybuchu w Chitpur, przedmieściu Kalkuty. Powodem było kupno gruntu, na którym stała kiedyś moszea, z przeznaczeniem na budowę zakładu wodociągowego. Naturalnie hindusów oburzało to, w ich mniemaniu, świętokradztwo.

Ofiarą niepokoju padło wielu krajowców i Europejczyków, pomimo, że wedle angielskich źródeł informacyjnych nie używano wcale broni palnej. Ma-

hometanie głośno oświadczają, że nie zaprzestaną czynnego oporu, póki nie wrócą im w posiadanie gruntu, na którym wznosiła się moszea.

Aczkolwiek sekretarz dla spraw indyjskich, lord Hamilton, oświadczył w Izbie gmin, że zaburzenia w Chiptur lokalnej były natury i nie należy brać ich zbyt seryo, prasa angielska jednakowóż głęboko zastanawia się nad ich znaczeniem. Prasa opozycyjna zwraca uwagę na okoliczność, że symptomata powstania okazały się równocześnie na wschodzie i na zachodzie Indyi, niemniej i na to, że Chiptur hindusi przystąpili do wspólnej akcyi z mahometanami. Fakt to znaczący, boć przecież wyznawców nauki Budy nie może razić obraza mahometańskich uczuć. Dotychczas Anglicy wyzyskiwali nienawiść religijną między hindusami a mahometanami. Czy uda się im także nadal, to zagadka, której rozwiązanie dużo obecnie czyni kłopotu politykom angielskim.

Rozmaitości.

* **Boiczew**, głośny adjutant księcia bułgarskiego, skazany został — jak wiadomo — za morderstwo popełnione na śpiewaczce Annie Simon, na dożywotnie ciężkie więzienie. Kara ta zdaje się nie jest dlań zbyt uciążliwą. Polega ona rzekomo jedynie na tem, że nie wolno mu w ciągu dnia opuszczać murów więziennych, ale przyjmować odwiedziny może ile zechce, a jedzenia więziennego nie dotyka, żywiąc się własnym kosztem. Nie mieszka w sali więziennej, lecz zajmuje przyzwoity pokoik w domu dyrektora, w nocy zaś wrota więzienia stoją dlań rzekomo otworem. Uwagi godnem jest i to, że Boiczew dotychczas jeszcze nie jest wykreślony z listy armii i liczy się wciąż jako rotmistrz rezerwy. Dalej, o ile wiadomo, proces Boiczewa będzie wznowiony. Czynią o to starania jego przyjaciele, którzy mają dostarczyć świadków na stwierdzenie »niewinności« rotmistrza. Że tu chodziłoby o komedyę, dążącą do uwolnienia Boiczewa i Novelicza, świadczy jeszcze i ta okoliczność, że proces ma być wznowiony przed sądem wojennym. Jeżeli większość w sejmie tych zamiarów nie pokrzyżuje, wznowienie procesu nastąpićby miało w zupełnej cichości, gdy tylko zapomną o nim nieco w Europie.

* **Złodziej kolejowy.** Policyi wiedeńskiej udało się przychwycić zuchwałego rzezimieszka, który w czasie pomiędzy 13 a 17 z. m. popełnił cały szereg kradzieży w wagonach sypialnych, na przestrzeni Wiedeń-Kraków i Wiedeń-Karlsbad. Zwykle, gdy taka kradzież w wagonie sypialnym się zdarzyła, znajdował się wśród jadących także porucznik, który opowiadał, że i jego okradziono. Bywał on w mundurze porucznika piechoty z zielonymi wyłogami i żółtymi guzikami. Tyle wiedziała policya. Onegdaj jeden z agentów policyjnych ujrzał w Wiedniu na Wollzeile oficera tak ubranego i pospieszył za nim do hotelu. Tu dowiedział się, że porucznik ów zameldował się jako Józef Klemm z Pragi. Ponieważ wojskowy szematyzm nie miał takiego oficera z zielonymi wyłogami, poczęto hotel nadzorować. Około wieczora wyszedł rzekomy oficer w cywilnem ubraniu z hotelu i tu go aresztowano. Znaleziono przy nim 300 zł. i złoty zegarek. Przy przesłuchaniu przyznał się do winy. Ma lat 27 i jest szeregowcem 4 pułku bośniacko-hercogowińskiego, nazywa się Mladen Barisic. Po przeprowadzeniu śledztwa oddany będzie władzom wojskowym.

* **Podłogi z masy papierowej.** Z Paryża donoszą: Papyrolit jest substancyą fabrykowaną z masy papierowej a która w handlu sprzedaje się w postaci suchego proszku. Zmieszana z wodą wysychając, ścina się na twardą masę, nieprzepuszczającą wilgoci ani zimna. — Podłogi z tej masy okazały się doskonałemi gdzie się obawiano wilgoci lub zimna, a także w tych publicznych lokalach gdzie chodzi o ciszę i zupełne bezpieczeństwo ogni, jak w szpitalach, teatrach, salach koncertowych i t. p.

„KATOLIK“ kalendarz dla wszystkich na r. 1898

obejmuje: kalendaryum na cały rok, jarmarki, śliczne obrazki i opowiadania oraz wiersze, dalej objaśnienie „Składu apostolskiego.“ — Szczególną uwagę zwracamy na artykuły: **Słów kilka o Tatrach** z 15 obrazkami, **Górnoślązcy posłowie do parlamentu** z 8 obrazkami. Powieści są następujące: Nagroda poświęcenia. Szczęście tylko w ojczystej ziemi, 3 obrazki z doli wychodźców. Chrześcianie w cyrku Nerona. — Przy końcu znajduje się: Podróż psami przez Kamczatkę i Syberyą. Adam Mickiewicz. O chowie królików. Jak się należy obchodzić z mniejszemi ranami, aby uniknąć zakażenia krwi? Przepisy kucharskie o przyrządzaniu różnych potraw z króliczego mięsa. Krótka historya kościoła i klasztoru OO. Bernardynów z opisem obrazu cudownego Pana Jezusa na górze Alwernii w Galicyi (z 3 obrazkami). Żarty w obrazkach i bez obrazków.

Cena 50 fen., z przesyłką 60 fen. — Przy odbiorze 10 egzemplarzy 11-ty w dodatku.

Nabyć można we wszystkich księgarniach i u panów agentów, oraz w ekspedycyi „Katolika.“ — Poszukujemy rzetelnych ludzi, którzyby pragnęli zająć się jego rozsprzedażą. Udzielamy stósownego rabatu. — Adres: **Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu** (Beuthen O.-S.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.